1. lutego. Nr. 4. Rok 1861.

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 111. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt. półrocznie 2 zł. 20 cnt. ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

AKWARELLE.

II.

Krytyk.

Sukcesya moja po Wojciechu gorzej mi dokuczała, aniżeli obciążona długami tabula. Autor *Szkiców* mianując mię następcą swoim, przepuszczał zapewne, że w mej głowie ulokowany jest pewien kapitał myśli, procent z którego mam wypłacać publiczności. Tymczasem to kapitalik tylko, z którego o procencie ani myśleć. Siedząc w domu zacząłem podziwiać współpracowników codziennie wychodzących gazet, kronikarzów mianowicie, którzy dzień w dzień z nigdy niewyczerpaną fantazyą rozprawiają się z publicznością; a że to była szara godzina, w ciągu tej admiracyi — zasnąłem.

Zaturbowany na jawie, i sen miałem niespokojny. Śniło mi się, że jestem w murowanym magazynie, wielkim, sklepionym, gdzie był skład rozmaitych rupieci. W jednym kącie spostrzegłem balon nadęty w formie bańki mydlanej, a na nim świecącemi literami napis: S. w. o.... reszty przeczytać nie mogłem. Rzucony był w kąt, widać że już bez użytku, przyduszony dużą dębową skrzynią, okutą w żelazo. Skrzynia ta dziwnego była rodzaju. Na górze miała ucho wydane, jak w skarbonkach, a po bokach dwie ręce sterczały niby drogoskazy. Rozciekawiony podszedłem bliżej i wtedy dopiero spostrzegłem dziwaczny rodzaj tych rąk. Wielki palec jednej kończył się armatą, drugi bagnetem, trzeci pałaszem i. t. d., tak, że dziesięć palców u obudwóch rąk składało całą armaturę.

Co to jest? — zapytałem rozciekawiony jednego z obecnych, który w czarnym fraku i w złotych okularach wyglądał na stróża praw.

Zapytany ukłonił mi się grzecznie, położył palec na ustach i — milczał.

Zostawiony własnym domysłom rozpocząłem dalsze nad tajemniczą skrzynią studya. Spostrzegłem przy bliższem przypatrywaniu się, że na dole ma otwór, przez który wszystko do skrzyni wrzucone przepada w przepaść, nad którą stała skrzynia, na brzuchu zaś jej spostrzegłem złoty napis, widocznie odświeżony: . . . . .

Ale nieszczęści mi się zawsze i wszędzie. Nim zdołałem odczytać napis, na który tak bardzo byłem ciekawy, nagle zamąciło mi się w głowie — litery następne rozszerzyły mi się przed oczyma i zaczęły pływać niewyraźne — obudziłem się.

Ciemno było w około mnie. Sądziłem na chwilę, że to za karę mej ciekawości wtrącono mię do podziemnych lochów, gdzie miałem przepędzić resztę życia i już zacząłem się martwić, gdy w tem jakiś głos cieńki dał się słyszeć: Proszę pana!

A co tam? — odpowiedziałem machinalnie, bardzo u cieszony, że mam towarzysza niedoli.

A gdzie pan, ta tu ciemniuteńko.

Zwyczajnie jak w więzieniu — odpowiedziałem z rezygnacyą.

Ta niech pan zapali świecę, bo ja nic nie widzę.

Żdziwiłem się tem zagadnieniem; zdawało mi się, że głos mi znajomy, zapytałem więc: A kto ty?

Ja z drukarni.

Ach! — uderzyłem się w czoło i przyszedłem zupełnie do siebie. Szukając zapałek zbiłem flaszkę z wodą, zrzuciłem na ziemię kałamarz z atramentem, nareszcie znalazłem czego szukałem.

Czego chcesz? — zapytałem zapaliwszy lampę, stojącego przy drzwiach chłopaka. Ten podał mi trzymaną w rękach kartkę. Na kartce zaś stało:

„Mój kochany! Najkardynalniejszą cnotą jest akura„tność i trzymanie słowa. Podjąłeś się pisać Akwarelle, „przyrzekłeś dać następną we środę, dzisiaj czwartek, a ju„tro ma wyjść numer. Wszystkie artykuły już złożone, tyl„ko na twój czekamy, nadsyłaj go bezzwłocznie.

A w piękne wlazłem zobowiązania! — pomyślałem sobie w duchu; dałem chłopcu za drogę i odprawiłem go zapewnieniem, że za godzinę najdalej sam przyniosę manuskrypt.

Po odejściu niepożądanego posła, w piekielnym byłem kłopocie. Oglądałem się po ścianach, po obrazach, po książkach, szukając wszędzie konceptu, nareszcie znalazłem go— na stole. Spostrzegłem na nim bilet wizytowy, na którem po jednej stronie stało; „Eulalia Styczniowska", po drugiej „prosi pana Trąbę dzisiaj na herbatę."

Zebrałem się spiesznie i wyszedłem. Wieczór był ładny, miesięczny, chociaż dobrze mroźny, a pani Eulalia mieszkała daleko odemnie. Po drodze miałem czasu dosyć do myślenia, a miałbym był i o kim myśleć, gdyby nie owa kartka redaktorska, co jak list gończy ścigała mię przyrzeczo-

nym artykułem. Tak więc tylko o jego treści ciągle marzyłem. Ale co to z tego! Jak nie ma konceptu, to i „święty Boże“ nie pomoże.

Po kwandransie byłem w przedpokoju pani Eulalii. Poprawiwszy włosów i klamry u pasa, która mi się po drodze była rozpięła, wszedłem do pokoju, gdzie znalazłem panią domu siedzącą na kanapie, otoczoną gronem kilku młodych mężczyzn, których wszystkich znałem, z wyjątkiem jednego. Ten, młody jeszcze bardzo, siedział na fotelu najbliżej pani i cały blask lampy padał na niego. Przywitawszy panią domu i obecnych, a nowemu gościowi podług reguł zaprezentowany, usiadłem naprzeciwko. Jak zapalony w swej sztuce chirurg wyszukuje rzadkie rany, strzelec namiętnie tropi zwierzynę, a zalotna pani świeżego niewolnika swych wdzięków, tak ja okiem chciwem wrażeń rzucałem wszędzie po obszernem pokoju. Pożerałem okiem klomb kwiatów ustawiony przed oknem — wpatrywałem się w obrazy olejne na ścianach — w fałdach białych firanek szukałem skrytych tajemnic, bo potrzebywałem, gwałtem potrzebywałem artykułu, a treści wyszukać nie mogłem. Zanurzyłem twarz w rękach i zwiesiłem głowę.

Czy to pański obraz „Powrót jeńców“ był na wystawie w Krakowie? — pyta w tej tak smutnej dla mnie chwili siedzący naprzeciwko mnie p. Teodozy, mój nowy znajomy.

Nie! — odparłem zawzięcie, wypierając się własnego dziecka.

Mnie mówiono, że to pański, ale lepiej że nie, bo jakiś dureń go robił. Są nawet błędy rysunkowe.

I wziąwszy numer drugi „Czytelni“ zapytał znowu:

— A „Akwarelle“, podobno pan pisałeś?

— Nie panie.

— To dobrze — przemówił tonem Mecenasa p. Teodozy — bo przyznam się panu kochanemu, że cały artykuł bez sensu. Już samo założenie najgorsze, to formalne paszkwile. Cóż to panowie sobie myślicie, że wolno wam wzorki zbierać z osób jedzących i mieszkających we Lwowie?

Przyznam się panu szczerze, że pisma dla młodzieży nie mają sensu — ciągnął dalej w gniewnym ferworze. — Dla młodzieży, dla jakiej młodzieży? Młodzież czyta wszystkie pisma, młodzież jest wiosną życia, młodzieży wolno robić co jej się podoba, bujać po obłokach, leniuchować, marnować czas i zdrowie — stać na czele! — zakończył głosem powolnym i zarozumiałym.

Cóż ją przy takiej niedojrzałości upoważnia do tego? zapytałem zdziwiony.

W tej chwili zagadała mię gospodyni domu i nie słyszałem odpowiedzi mego krytyka. Słyszałem tylko, jak w dalszej rozprawie z memi towarzyszami ganił po kolei wszystkie pisma, wykazując ich niedostatki.

Skończywszy rozmowę z panią Eulalią, wstałem i przeszedłem się po pokoju. Stanąłem przed oknem koło kwiatów. Lubię nadewszystko kwiaty, owe wonne pieszczoszki zmysłów naszych, a tutaj znalazłem je w takiej świeżości, w takim doborze i z takim gustem ustawione, jak mi się nigdzie indziej widzieć nie zdarzyło. Usiadłem obok na krześle i zwróciwszy ku nim oczy, poiłem się ich widokiem i wonią.

Po chwili jakiś cień zarysował się na firance. Podniosłem głowę i spotkałem się oko w oko z bladą wymokłą twarzą, przymrużonemi oczyma i słodko-kwaskowatą miną p. Teodozego. Nie miłe na mnie zrobił wrażenie: nie lubiałem go, bo zganił mój obraz i miał głos tak źle brzmiący a przytem tak pretensyonalnie modulował go, że raził moje ucho. A u mnie głos ma wielką wagę i pewny jestem, że on jest najwierniejszem zwierciadłem duszy. Jeżeli jest mile brzmiący, wyrobiony, głęboki, zyskuje moje zaufanie — jeżeli krzykliwy, płytko się rozlewający, pieszczony, słodziuchny lub uszczypliwy, pewny jestem, że osoba, której jest własnością, te same posiada przymioty. Dlatego zdaje mi się, że głos jest najwierniejszem odbiciem zewnętrznem psychicznego usposobienia.

Podziwiasz pan kwiaty? — zagadał do mnie. Przyznam się panu, że liche. Ta *rosa gallica* dobrze już przywiędła, *pelargonia* także kiepska. Prawdę powiedziawszy nie ma ani jednego ładnego egzemplarza.

W tej chwili z poza kląbu, za cyprysem skryte, zajaśniały śliczne czarne oczy panny Celiny, córki pani Eulalii. Poznałem te oczka gazeli i wolałem zbliżyć się do ich właścicielki aniżeli odpowiadać p. Teodozemu.

Co ten pan tak wytrwale ganił? — zapytała panna Celina, z maleńkim marsem na czole.

Bezbożnik! śmiał bluźnić najulubieńszy kwiat pani — różę!

Pogardzam nim! — zawołała panna Celina z takiem oburzeniem w całej swej twarzyczce, że się głośno rozśmiałem. — Bo też i zasłużył na to, niegodziwiec! — potwierdziłem, podając jej rękę, gdyż właśnie proszono do herbaty.

Muszę przyznać, że ton domu pani Styczniowskiej podoba mi się bardzo. Przy największej przyzwoitości była swoboda, niewymuszoność, kto chciał siedział, kto wolał chodzić ten chodził, nikogo nie zmuszano siedzieć godzinami jak karukiem przylepiony na jednem z krzesełek, ustawionych nieszczęsnym wieńcem w około kanapy pani, co mi na długi czas odjęło ochotę do wizyt. Rozmowa była zawsze ożywioną, trzymano kilka dzienników i interesowano się żywo bieżącemi wydarzeniami. To też i przy herbacie mówiono dużo i o wszystkiem, śmiano się, żartowano, ale często i przedmiot poważniejszy był celem rozmowy. Mówiono właśnie o ruchach politycznych, o wyswobadzaniu się narodów, o nadziejach jakie mieć możemy.

Tego bym sobie tylko życzył — odezwał się kapitan M. towarzysz Dembińskiego — ażeby młodzież u nas była ostrożną i rozważną jak dotąd i ażeby tem samem dowiodła, że dojrzała do roli, jaka ją czeka w przyszłości.

Wszyscy umilkli zamyśleni i cicho było zupełnie. W tej chwili wleczącym głosem odezwał się p. Teodozy z naciskiem: Ja się nie zgadzam zupełnie z kierunkiem polityki tegoczesnej. Jak uważam ze wszystkiego, Napoleon wielki jest dureń, a i Garibaldi potężne strzela bąki.

Wszyscy spojrzeli na pana Teodozego, potem po sobie. Kapitan mocno poczerwieniał i chciał coś mówić, ale popatrzywszy się na swego adwersarza, ruszył ramionami i zajadł gniew szynką — w młodszych zaś, a mianowicie w pannach, sentencya ta niedorzeczna wzbudziła widocznie ochotę do śmiechu i chociaż z mężczyzn nikt nie rozśmiał się głośno, widziałem dobrze, jak mniej wstrzemięźliwe panny robiły sobie znaczki figlarne i nibyto z tych serdecznie się

śmiały. A i po herbacie miał p. Teodozy pole okazać niejednokrotnie swoje niezadowolenie; nie podobał mu się sposób budowania kamienic we Lwowie, ganił nowy most w Przemyślu, potępiał srodze politykę Cavoura.

Gdy o godzinie 10. wróciłem do domu, długi czas nie mogłem się uspokoić. Niemiłem brzmieniem szumiał mi w uszach krytykujący wszystko płytki głos pana Teodozego, a gdy zasnąłem, śnił mi się w postaci wielkiego znaku zapytania.

Nazajutrz raniutko o godzinie 4. wstałem, aby wywiązać się z przyrzeczenia napisania dalszej Akwarelli, ale już się o treść nie kłopotałem, postanowiłem bowiem odszkicować p. Teodozego, bo tacy bezrozumni i bez serca krytycy, wyszukujący we wszystkiem tylko stronę ujemną, to najnieznośniejsi ludzie pod słońcem.

NOCNA JAZDA.

„Zamiast szczęścia dziki koń,...“
Tom. Olizarowski.

Nad polami u nas nocą
Złote gwiazdy się migocą.
Niby nocnej sygnaturki
W zbożach dzwoni głos przepiórki,
Skrzek koników, świerszczow wrzawy,
Przepióreczkom wtórzą z trawy.
Tędy chaty w cieniu lip,
Tam mgła pląsa pasmem skib,
Tu jak tuman czarnych chmur
Widno zdala czarny bór,
Księżyc krwawo wstaje z jaru
Niby łuna od pożaru.

Spijcie twardym snem ujęci!
Dla was szkoda nocnych kras.
Spijcie, życie bez pamięci!...
Koniu dalej, — czas nam, czas!
W duszy boleść, — w oczach skry;
Serce, stawka strasznej gry..
Pamięć, trumna — chwały, strat...
Myśl — latawiec przyszłych lat.
W piersi ogień, a na czole
Marzeń wianek, sny sokole...
Koniu! dalej... ja na tobie
Setnem życiem żyję w sobie!

Z tchnieniem wiatru pieśń się miesza,
Tam od wioski, tam od drew,
To z wieczornic wraca rzesza
I miłosny nuci śpiew.
Szczęśni oni! — koniu wrony
Ciszej, ledziej — niech te tony
Nakształt rosy pierś obsiędą...
Może one wróżbą będą!
Łza w mem oku... uśmiech w sercu
Klękneż kiedy na kobiercu?
Ty mi podasz białą dłoń?
Grzmią organy... my w kościele
Ręka w rękę; ty aniele
Okrążyłaś wiankiem skroń!...

Boże! Boże — jak ja marzę?
Północ już na gwiazd zegarze;
Tam po chatach światła gasną,
W mojem sercu cicho, — jasno.
Szmer nademną piór anioła,
Pacierz jakiś szepczą zioła,..
Każdy zda się „kocham“ woła.

Koniu wrony wczwał — o! spiesz —
Podkowami ognia skrzesz!
Do niej — do niej po za bór;
Tam nad rzeczką biały dwór.
Tam z pagórka szlak się zgina,..
Rajskie ptasze tam, — jedyna!
Tędy, tędy w bok po moście...
Tam — zmodlone z nieba goście.

Ale darmo! stój — o stój!
Co ja marzę? koniu mój,
Biały dworzec ach daleko!
Pod górami tam, za rzeką.
A ja marzę roję tak
Że tam zlecę niby ptak.
Choćbym zleciał — Boże! Boże
Cóż, gdy serce me otworzę,
Gdy jej wyznam miłość całą,
Podaż ona rękę białą?
Podaż rękę, czy skraśnieje,
Powież tylko, miej nadzieję?
Powież „kocham!“ — czy odtrąci?
O jak to się w głowie mąci!
Może każe aż w mogile
Zapomnienia znaleść chwilę?
Wczwał mój koniu! w dal samotny
Pędzę jako wicher lotny,

Dziko — straszno w nocnej głuszy!
Gdybyż wydrzeć boleść z duszy!
Gdybyż sercu ulżyć trocha
Co tak wre — tak kocha!
Kiedyś przyjdzie zniknąć z bolu
Jak jęk niknie w pustem polu,
Którym rozpacz szlocha.

Tyle jasnych skier na niebie —
Gwiazdy! kto wam światła dał?
Wy jak ziarna co po glebie
Doświadczony rolnik siał.
Wielkie dzieło skrytej dłoni!
Wzrok zdumiony ku wam goni,
A w natchnienia blasku dusza
Słyszy jak ten świat się rusza.
Ale gdzież mu droga, gdzie?
Myśl jak sokoł w dal się rwie,..
A tam środkiem mleczna rzeka
W poły kraje niebios łan,
Zkąd wypływa? — gdzie ucieka —
Siejbę, kiedy zbierze pan?

W czwał mój koniu, dalej w czwał!
Księżyc błysnął z poza skał:
Włos mu srebrny spływa z głowy;
Siejby pańskiej to polowy,
Nocą schodzi cały łan,
Czy gdzie szkody nie ma Pan.
Teraz tędy przez tę błoń
Zkąd wiatr taką niesie woń,
Środkiem kwiecia, trawy, w dal,
Gdzie się rosa skrzy jak stal,
Gdzie się iskrzą łany całe
Niby wojska zmartwychwstałe.

*

Lecę — lecę — konia grzywa
W koło szyi gnie się — pływa
Za mną wicher dziko śpiewa.

Przy ogniskach nocnych twarze...
Obóz, działa, — tam husarze,
Tam pancerni, — tam kozactwo
Król, hetmany, — całe bractwo.
Ho! witajcie — o! i u mnie
Dwoje skrzydeł sterczy dumnie,
Twarde piersi, silna ręka,
Broń ostrzona z boku szczęka...
Lećmy — lećmy w czwał na boje
Bronić czyste gniazdo swoje.

Kto wytrzyma tej potędze?
Lecz gdzie hetman — on, w siermiędze?
Miejsca! — miejsca mu na przedzie!
On w bojowy tan niech wiedzie
Lećmy, dalej — dalej w czwał:
Niech stal pęka, huczy strzał.

Koniu! gdzież my się zagnali?
Tam — mogiły widno w dali,
Wzdłuż przez całą biegną błoń.
Ach! tu jeszcze milsza woń.
Zkąd się bierze? któż odgadnie —
Może wiatr ją ztąd nie kradnie?
Nie! tu z dawnych jeszcze lat
Śpiącej sławy rośnie kwiat...

Za wiek trudów tyleż — tyle...
Wonny kwiatek na mogile?
Stój! tu wytchną piersi twoje,
A ja wonią się napoję,
W groby zajrzę... ujrzę kwiat
Co tu rośnie z dawnych lat,
I podumam co tam z dala
Na brzeg rzuci czasu fala?

Gdybyż mi choć o mój koniu
Ten zachodni ciepły wiew
Zawiał piosnkę po tem błoniu,
Słodką jak piastunki śpiew:
Co to dziecku przyszłość wróży
Drogę do nie ednych bram,
Orli żywot światła, burze —
Ach, ja jedną taką znam!

Kiedyż — kiedyż przyjdzie czas?
Krzywda rośnie niby las,
Dzwonią pieśni, serca rosną
W miłość, jako kwiaty z wiosną,
W duchu pełno hartu — woni,
Któż podniesie krzyk: do broni?
Krew jak polny kłos dojrzewa,
Kiedyż dadzą hasło żniwa?

Wczwał mój koniu — w oczach skry...
Serce — stawka strasznej gry,
Pamięć, trumna chwały, strat,
Myśl — latawiec przyszłych lat...
Koniu dalej — ja na tobie
Setnem życiem żyję w sobie.

. . . .

Cyt, tam błyska ranna zorza!
Hej to może wróżba Boża.

Miecz, R.

Przeszłość jednego z dzisiejszych plemion.

Dziewietnaście ciężkich wieków dźwiga naród Izraelski, wieków cierpienia i udręczenia, niekiedy tylko przerwanych promykiem jasności, oazą wśród puszczy. Od czasu zburzenia salamońskiej świątyni zawisła klątwa nad tym nieszczęśliwym narodem, tułał się po wszystkich zaułkach świata, wszędzie wzgardzony, wszędzie poniżony.

Surowe Rzymian prawa były zwiastunami późniejszej niedoli wyznawców Mojzesza, bo nieprzyjaźne im, zaszczepiły takież tendencye w kodeksach cywilizowanych narodów. Prześladowani od pogan, którzy ich za sektę chrześcian uważali, prześladowani od wyznawców kościoła i zwolenników Mahometa, odświeżali swe narodowe tradycye po krajach, gdzie jeszcze wolno i bez osobnej odznaki stąpać mogli. Ziemia w której pierwszą swą odbyli niewolę, niewolę babilońską, ta ziemia przyjęła ich teraz i pozwoliła im zakładać szkoły pod przewództwem Gaonów, którzy rozbierając zdania Talmudu, spisywali ważne dla swych wyznawców prawa. Szkoły w Sura i Pumbadita zasłynęły głęboką nauką. Wyższa nad wszystkich ówczesnych ludów azyatyckich cywilizacya Izraelitów podbiła sobie znaczny wpływ pomiędzy Arabami, który im niejaką niepodległość osobliwie w okolicach miasta Jathrib pozyskał. Zjawienie się dopiero Mahometa zniszczyło ich wpływy i zmieniło ich stan w stan opłakanej niedoli. Długo znów udręczeni odżyli życiem wolniejszem na dwóch krańcach Europy w Hiszpanii pod Maurami i przy ujściach Wołgi w udzielnem państwie Chazarów, którego chagan (książę) mojżeszową przyjął religię. — W Hiszpanii zarówno z synami Mahometa uprawiali sztuki piękne i literaturę i nie mało się przyczynili do wykształcenia filozofii, matematyki i medycyny; nad Wołgą zaś wprawiali się do oręża w ciągłych utarczkach z Rusią i Pieczyngami. Wielki książe Światosław z Kijowa położył koniec udzielnemu państwu w roku 965 nad Wołgą, które uratowało swe ostatnie siły na półwysep krymski, aby odebrać tam ostatni cios (1016) od Mieczysława syna Włodzimierza.

Smutne czasy nastały na Izraelitów; prześladowania w Niemczech i Egipcie a trochę później wojny krzyżowe dały im zakosztować całej srogości losu. Anglia i prowincye nadreńskie zbroczone zostały krwią Izraelitów. — Prawo Włodzimierza Mnicha, dane w Widobyczy roku 1113 wykluczające ich z ziemi ruskiej, prześladowania w Czechach w roku 1099 i wycinanie ich w Niemczech r. 1349 sprowadzają tłumy Izraelitów do Polski, gdzie także różnego pod różnymi królami dostępywali obchodzenia się. I tak; łagodne prawa Kazimierza Wielkiego obostrzone zostały z przyczyny różnych oskarżeń od Władysława Jagiełły, Stefana Batorego i Zygmunta III. — Rządy Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I. Władysława IV. Jana III. były sprawiedliwe dla żydów. Samowola szlachty dręczyła ich wprawdzie, nieprzychodziło jednakże do takich ostateczności jak w Niemczech, gdzie

krew żydowska często potokami spływała—i do takiego odosobnienia ich jak we Włoszech, gdzie nad Ghetto w Padwie stał napis: „Ne populo coelesti regni haeredi, usus cum exhaerede esset.“ Za panowania Stanisława Augusta, gdy ojczyzna stała nad grobem i zaczęto poznawać że Polska bezrządem stać nie może, pomiędzy innemi prawami i instytucami, które zaprowadzonemi być miały i kwestya żydowska była poruszoną, a pomiędzy innemi to piękne prawo zachęty ustanowionem zostało, że ci żydzi coby się wzięli do rolnictwa, uwolnieni od podatku zostaną. Rozumiano dobrze że naród w narodzie istnieć nie może, tylko że się musi zlać w jedną potęgę, aby nawzajem sobie nieszkodził. Upadek Polski — rozerwanie jej części opóźniły zaczęte dzieło, a niezbliżone do siebie żywioły, trzecim do tego rozłączone, nie mogły inaczej jak tylko najgorzej na siebie oddziaływać; i dla tego to, podczas gdy Żydzi w innych krajach do narodowości się wcielili i tylko religiją się różnią, u nas jeszcze głębokim są oddzileni rowem, który dopiero inteligencya żydowska i to pojedyńczo pomostem nakrywać zaczyna.

Pomoc im nieść w tej pracy, dopomagać gorąco w pięknych usiłowaniach, szczerym powinno być naszym zamiarem, abyśmy czem prędzej tej przyjemności zakosztować mogli, uważać każdego żyda za Polaka, za rodaka, który jednako z nami myśli, którego serce tem samem bije tętnem.

C.

Korespondencye.

Kraków w styczniu 1861.

Strój i taniec narodowy przyczyniają się wiele do przechowania zwyczajów, a nadewszystko do utrzymania tego prawdziwego skarbu t. j. ducha narodowego; nie można się więc niecieszyć z tych powierzchownych objawów życia, które się w naszej okazują prowincyi. Strój i taniec narodowy łączą nas z pięknemi zwyczajami dawnej Polski, są węzłem który nas pośrednio wiąże z cnotami naszych ojców. Każde polskie serce podnosi się i hartuje w rycerskim mazurze, a kapota i czamara przypominają mu prawość tych, co się tak ubierali, gdyby nawet dla tego tylko, że przyzwyczailiśmy się widzieć więcej oszustów we fraku niż w długiej kapocie. Pamiętać jednak należy, że nie nosimy czamarek dla mody, a konfederatek dla tego, że je jakaś elegancka znakomitość nosić zaczęła, ale dla tego, aby się zbliżyć do tak nam drogiej przeszłości, aby się zbliżyć do ludu. Nie to więc mamy na celu aby jeden od drugiego piękniej był ubrany, nie to aby niektórzy mieli pole choć tak kiepskiego odszczególnienia się jakąś jedwabną pętlicą lub sążnistą aksamitną konfederatką z prawdziwym perskim barankiem, bo gdyby taki był cel noszenia narodowych strojów, to lepiej powrócić do skromniejszych sukień francuskich. Potrzeba więc o ile możności starać się o skromność w ubiorach, zwłaszcza w teraźniejszych czasach. Gruba szaraczkowa kapota na zimę, a na lato szara czamarka to skromne a narodowe, to lepiej przypomina cnoty obywatelskie jak atłasy i aksamity, które już z czasów upadki Polski pochodzą. Wprawdzie chorobliwy stan, jaki teraz owładnął nasze kieszenie, nie pozwala na wielkie wybryki w strojach, ale silna wola wystąpienia na jakiejś zabawie n. p. w białym atłasowym żupaniku gotowa wycisnąć z akadamickiej sakiewki kwartalną pensyjkę i postawić może pierwszy krok do przykrej mety — do długów! A gdyby nawet do tego przyjść nie miało, to dobrzu trzeba sobie zapamiętać słowa starego Zbylitowskiego: „Każdy zbytek nie może być inaczej zwany, jeno szkodliwą wolą,“ i ograniczyć się na grubem suknie, pamiętając że nasz racławicki bohater chodził tylko w sukmanie.

Dajemy krzyżyk na drogę francuskim strojom, dajmyż i tej reszcie francuskich rozmów, które już wprawdzie nieśmiało, ale przecież się pokazują po kątach salonów; wyrugujmy ten zaraźliwy jad francuskich powieści, który niestety u pewnej części młodzieży, której wychowanie najlepszemby się stać mogło, dosyć się często pojawia! — To największa klęska dla młodzieży, gdy wśród niej stanie, taki dziwoląg ni do Boga ni do ludzi, paraliżuje on jej sprawy i staje się zawsze szkodliwym intruzem. — Niemówię tutaj, by zupełnie zaniedbywać studyum obcych języków, bo te nam są bardziej przydatne niż narodom posiadającym polityczną egzystencyę, tylko trzymać się zawsze trzeba na granicy człowieczeństwa, a nie przechodzić w małpiarstwo. Obowiązkiem młodzieży jest wpływać na intruzów niepewnej narodowości, ochraniając jednakże tych, co w uczeniu się obcych języków poczciwe mają cele na myśli. *C.*

---

z Krakowa w styczniu.

✝ Podnoszę głos dzisiaj w ważnej sprawie należnego uznania i zasługi tych, którzy dobrą myślą i poczciwą wolą niosą bratnią pomoc niższym od siebie nauką. W Nowym-Sączu, miasteczku zawsze życiem i poczciwemi dążnościami słynnem, kilku zacnych mieszkańców pod firmą P. Sroczyńskiego zasłużyło jeszcze przyszłego roku „*Czytelnię dla rzemieślników.*„ W chwili dzisiejszej, kiedy wypadki jedne po drugich telegraficzną szybkością następują, i to wypadki każdego z nas gorąco obchodzące, wyjaśnienie „*maluczkim*“ toku tych spraw wszystkich, otworzenie im oczów na rzeczy najbliżej nich rozwijające się, jest zadaniem wielką zasługę wyrabiającem dla tych, którzy się niem zajmują. Założyciele „Czytelni w Nowym Sączu“ w ogłoszeniu swem o niej wyrazili się, iż wspomniana a *bezpłatna* Czytelnia zawiązaną została „dla ubogiej intelligencyi, ubogich mieszczan, różnej klasy rzemieślników, czeladzi i wyrobników, jako też i okolicznych chłopków *w celu pojmowania narodowości* nam przez Najjaśniejszego Pana przywróconej.“

“Czytelnia„ ta posiada już następujące dzienniki; *Czas*, *Przegląd*, *Dziennik literacki*, *Głos*, *Ognisko* i *Niewiastę*. Licznie zbierający się czytelnicy dopraszają się skwapliwie po przeczytaniu jednego pisma o drugie, gdy zaś zbierze się ich liczba znaczna, wtedy jeden z członków tej instytucyi odczytuje głośno rzeczy najważniejsze, czasem je objaśniając i tłumacząc.

Byłem na takiem posiedzeniu niedawno, a widok tych ludzi chciwych wieści o swojej ojczyznie, ta na ich twarzach malująca się radość z każdej choćby najmniejszej nadziei, rozrzewniła moje serce i pomyślałem sobie: „Dobry Boże, błogosław im i wzmacniaj nadzieją ich serca; niechaj zagasły jakiś czas w duszach ich ogień rozpali na nowo wiarę i miłość ich przodków!“

I tobie szanowny redaktorze piszę słów parę o tej instytucyi, abyś swym czytelnikom dał wieść o tem, co zacne i godziwe, aby z dobrego czynu i przykładu i inni brali wzór dla siebie, aby taką bratnią pomocą zbliżali niższych do siebie, oświecając ich w sprawach najbliższych sercu Polaka.

Nie wątpię, że redakcya Czytelni dla młodzieży poświęci egzemplarz swego pisma na tak szlachetny cel, czem także przysłuży się bardzo dobrej sprawie. *)

Dzwonek byłby takiej bezpłatnej Czytelni bardzo użytecznym.

Z krakowskich wiadomości mogę wam donieść o stanowczem i ostatniem posiedzeniu Towarzystwa bratniej pomocy akademików i ogłoszeniu statutów swych. Statuta te poszły pod zatwierdzenie władzy, poczem zaraz w życie się wprowadzą.

Dyrekcya teatru krakowskiego dzisiaj właśnie daje przedstawienie, z którego połowę dochodu przeznacza na korzyść tego towarzystwa wzajemnej pomocy. Obywatelski ten czyn p. Pfeiffra zyskał mu powszechny poklask.

Wdzięczna młodzież akademicka składa mu niniejszem swe podziękowanie, że zaś nie wzięła żadnego udziału w rozsprzedawaniu biletów i zaproszeniu na to przedstawienie obywateli, to pochodzi z tąd, iż niesłuszne a dotkliwe krzyki i baśnie, jakie część naszego obywatelstwa o niespokojności (najspokojniejszej) młodzieży rozsiewa po mieście, zniechęciła ją do wszelkiego występywania publicznego.

Słyszymy bowiem ba! nawet i czytamy, i to czytamy tam, gdzie o tem przecie pisać nie należy, wraz *z teoryą dobrego przyrzędzania nawozu*, skargi i utyskiwania na nietaktowne postępywanie młodszych; czytamy obok przepisów przyrządzania *serów* przepisy taktu i przyzwoitości dla młodzieży polskiej. Wszystko to boleć tylko może serca niepoczuwającej się do niczego złego młodzieży, a boleć tembardziej, jeżeli jej zimny starzec zarzuca złośliwie brak prawdziwej miłości ojczyzny.

O oświetlaniu gazem.

Po za stepami ciągnącemi się poniżej Donu i Wołgi aż ku Kaukazowi, na wschodniem przedłużeniu tego łańcucha gór, rozgraniczającego od południa swą niebotyczną ścianą Azyę od Europy, i rozciągającego się od morza Czarnego de Kaspii brzegów: leży półwysep Abszeron, wsuniony jeszcze bardziej w głąb' tego ostatniego morza. Ziemia ta, buchająca wiecznym płomieniem przezwaną została Ziemią świętą, przez Persów i dawnych Indów, *ognia* czcicieli, którzy mu świątynie i ołtarze w tem miejscu stawili. Na półwyspie tym w pobliżu miasta Baku, na przestrzeni kilkowiorstowej, ozdrojonej strugami nafty i skalnej smoły, zapalającej się prawie codziennie, buchają wciąż płomienie wydobywającego się zewsząd gazu przez szczeliny ziemi i skał porozpękanych od wewnętrznego gorąca. Dawni czciciele ognia urządzali rodzaj rur kominowych po nad temi otworami, dla lepszego skupienia tego gazu, który płonąc wciąż ogniem błękitnym, był przedmiotem ciągłego ubóstwiania ich i czci bezustannej, oddawanej w świątyniach wzniesionych po nad temi przewodami rurowemi, stanowiącemi jak gdyby ich ołtarze. Dziś już tylko liczne gruzy dawnych świątyń pokrywają tę płomienną ziemię. Ostatniemi czasy siła wybuchów ognistych tej okolicy wzmogła się była do tyla, że je dostrzegać można było z odległości kilku mil.

(C d. n.)

(* Już posłaliśmy.

Stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej
W POZNANIU.

Liczna czeladź rzemieślnicza w mieście Poznaniu błąkała się dotąd w czasie wolnym od pracy po ulicach i często marnotrawiła grosz ciężko przez cały tydzień zapracowany. Brakowało jej przewodników i opiekunów. Patrząc na jej poniżenie moralne nie jeden przemyśliwał jakby złemu zapobiedz: ale dotąd kończyło się na ubolewaniu jedynie.

Otóż duchowieństwo poznańskie zagrzane pięknym przykładem lwowskim, powzięło myśl założenia stowarzyszenia czeladzi rzemieślniczej na podobieństwo tego co istnieje w Kolonii, za staraniem wielce zasłużonego ks. Kolpinga, a jeszcze bardziej na podobieństwo tego co istnieje we Lwowie. Ksiądz Józef Zenkteler mansyonarz przy kollegiacie Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu porozumiawszy się z kilku młodymi duchownymi, także zniosłszy się z prezesami stowarzyszeń czeladzi rzemieślniczej w Kolonii, w Toruniu, w Gdańsku i we Wrocławiu, mianowicie zaś z ks. Zygmuntem Odelgiewiczem we Lwowie, udał się do niektórych obywateli miejskich majstrów lub rękodzielników, którzy wszyscy myśl z wdzięcznością przyjęli i zaraz jęli nalegać, aby ją w życie wprowadzić.

Ten współudział zachęcił ks. mansyonarza do dalszych kroków; więc przełożył rzecz całą władzy duchownej. Najprzewielebniejszy arcypasterz zamiar pochwalił i udzielił zachęty i błogosławieństwa. Na dniu tedy 18 listopada r. b. w uroczystość św. Stanisława Kostki, patrona naszego i patrona młodzieży wszelkiej, odbyło się w lokalu wynajętym przy ulicy Butelskiej pierwsze przygotowawcze zebranie czeladzi rzemieślniczej; przemówili majstrowie wykazując potrzebę stowarzyszenia, zachęcając do współudziału, błogie owoce zapowiadając. W następną niedzielę zeszli się znowu i czeladź i majstrowie, a między duchownymi opiekunami dzieła zasiadł ks. Aleksy Prusinowski. Ksiądz Prusinowski gorąco się do zebranych czeladników odezwał. Dziś rzecz uważać można za istniejącą.

W uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. Panny, czeladź rzemieślnicza z różnych cechów, skwapliwie wezwaniu prezesa swego ks. Zenktelera odpowiadając, zebrała się po południu w liczbie 70 czeladników w kościele farnym, aby się oczyścić w Sakramencie pokuty. Spowiedź trwała do późnego wieczora. Nazajutrz Najprzewielebn. Arcypasterz, który sam posługę swoją duchowną ofiarował, odprawił na intencyę nowo powstającego stowarzyszenia mszę świętą w tutejszej katedrze o godzinie 6tej rano. W czasie mszy rozdzielał kommunię Śtą czeladnikom. Gdy w końcu wzniósł rękę, aby pobłogosławić lud i klęczącą u stóp ołtarza mło-

dzież rzemieślniczą, wydało się wszystkim, że błogosławieństwo pasterskie zlało się na rozpoczęte w Imie Boże dzieło.

Tak więc czeladź rzemieślnicza marnująca próżno czas i zarobek w dni świąteczne, lub co gorsza siedząca w te dni przy warsztacie z pogwałceniem praw Bożych i kościelnych, zaczyna się skupiać pod opieką N. Maryi Panny, aby żyć pobożniej i lepiej chwil wolnych używać. Stowarzyszenie poznańskie ma przyjąć statuta lwowskiego stowarzyszenia o tyle, o ile miejscowe okoliczności niestaną na przeszkodzie. Zadaniem stowarzyszonych pod przewodnictwem ks. Zenktelera czeladników jest wzajemna pomoc do utrzymania się w pobożności i zachowania dobrych obyczajów, także pouczanie w rzeczach użytecznych dla rzemieślników. W tym celu kapłani miejscowi będą uczyć młodzież ową katechizmu, czytać, pisać i rachować. Później w miarę potrzeby i inne się wykłady urządzą. Oprócz nauki zaprowadzone zostaną w lokalu stowarzyszenia wspólne rozrywki pod okiem księży i czeladnicy będą mogli przepędzać przyjemnie tak wieczory świąteczne jako i inne chwile wolne od pracy.

Stowarzyszeniu poznańskiemu potrzeba książek i pism budujących. Dotąd nie posiada ono żadnych początków biblioteki. Tylko p. K. Förster przysłał sto egzemplarzy dzieła swego *Przewodnik moralności dla użytku klas roboczych*, i te sto egzemplarzy zaraz między duchownych, między rzemieślników i między czeladź rozdzielono. Jak zwykle przy przedsięwzięciach prawdziwie użytecznych, znalazło się kilku dobroczyńców, którzy się z ofiarami pieniężnemi zgłosili.

Niewątpimy, że Pan Bóg pobłogosławi tak zacnemu i tak użytecznemu dziełu. Bodaj tylko kierownicy jego nie zrazili się trudnościami i wytrwali statecznie. Bodaj także współudział i czynna pomoc ze strony obywateli ulżyły im w zadaniu i dowiodły zarazem, że powszechność nasza rozumie, ile jest ważną dla przyszłości kraju rzeczą, żeby młodzież wszelkich stanów pobożna była, moralna i czerstwa.

P. P.

Zachowanie się młodzieży polskiej w przeszłym wieku.

(Podług pamiętników Jana Duklana Ochockiego.)

Gdy gość w dom przybył, a było to czasu wakacyi albo świąt, przywoływano synów, którzy w kontusikach i przy pałaszach bawili się na rozkaz pana ojca. Powitanie łaskawego sąsiada stosowało się do godności jego; stolnikowi, cześnikowi lub t. p. ręce tylko ucałować było potrzeba; kasztelanowi, wojewodzie upaść plackiem do nóg.

Uczono synów zawczasu pokory i poszanowania dla wieku i zasługi. Po wyjeździe gości, wypytywał zaraz ojciec synów: o czem była mowa? o jakich mówiono materyach z panem sąsiadem? jakich tam pryncypalnie użyto frazesów? jakich sentencyi łacińskich, i t. p. Jeśli synowie czego zapomnieli, nie minęły ich pewnie rózgi lub dyscypliny; to też przez cały przeciąg bytności gościa słuchali pilnie i z uwagą, stojąc z daleka, bo ani usiąść, ani nawet oprzeć się nie było wolno.

Z pokoju bez pozwolenia ojca lub matki nie wolno było wynijść pod żadnym pozorem; w razie otrzymanego zezwolenia wyznaczony był trakt, z którego zboczyć nie godziło się ani na krok, i meta, po za którą występkiem się było posunąć.

Z ludźmi służącymi, jak z jednej strony zabraniano wszelkiej poufałości i dyskursów, tak znowu z drugiej dziecię im rozkazywać nie miało prawa, a o wszystko prosić musiało grzecznie. Jeśli się trafiło połajać kogo, lub wyrządzić któremu ze sług jakiego psikusa, a zaszła o to skarga do wyższej instancyi, potrzeba nie tylko przeprosić, ale i rózgi odebrać, w czem żadne instancye, łzy ani prośby nie pomogły. Nawzajem słudzy bez wyjątku przy pańskiem dziecku ani usiąść, ani w czapce na głowie stać nie mogli; ten zwyczaj poszanowania dla dzieci oddalał od nich i nie dopuszczał zbytniej poufałości.

Nietylko w dziecinnym wieku, ale dorośli synowie i zięciowie przy starszych i rodzicach usiąść nie śmieli, aż im dozwolono. Widziałem raz w Żytomierzu (mówi Ochocki) Jana Pauszę, stolnika kijowskiego, później podkomorzego owruckiego, idącego z czterema dorosłymi synami do kościoła pojezuickiego na mszę studencką, otoczonego liczną asystencyą przyjaciół i służby. Synowie jego, Michał sędzia ziemski owrucki, drugi Tadeusz szambelan, trzeci Jakób porucznik w wojsku, czwarty Józef jeszcze w szkołach, szli za ojcem z pokorą; Michał niósł za nim pałasz, który podkomorzy dopiero przed kruchtą przypasał. W kościele ojciec zabrał miejsce w ławce, a synowie przy niej stali wszyscy rzędem, za nimi dopiero służba. Takie były prerogatywy wszystkich ojców i obowiązki dzieci.

Odbieramy list następujący;

Przyjęta ważnością założenia „Domu dla ubogiej uczącej się młodzieży,“ kwestowałam w tym celu na balu tutejszym, a przesyłając uzbieraną składkę w kwocie *31 zł.* proszę przyjąć łaskawem sercem ten mały, równie z serca pochodzący datek. T. G.

Dubiecko 14. stycznia 1861.

Poezye dla młodszego wieku z rozmaitych pisarzy, zebrane przez profesora Dra Jana Rymarkiewicza, wydanie drugie pomnożone. Poznań, u Żupańskiego 1860 str. 168.

Zbiór poezyi dla młodszego wieku doczekał się rychło drugiego wydania. Jest on bardzo użyteczny bo krótki, a bardzo przystępny, bo tani. Dobór wierszy w ogóle znajdujemy staranny, tylko dział poezyi dramatycznej zbyt się nam słaby wydaje. Komedyjki zgrabnej i przyzwoitej ale zupełnie dziecinnej nie dość, by młodzież początkującą objaśnić na przykładzie, co to jest poezya dramatyczna. Pan Rymarkiewicz wziął najwięcej z Lenartowicza i to rzecz naturalna, wziął po trochu ze wszystkich celniejszych poetów dzisiejszych, pominął tylko poetów szkoły klasycznej. Tego systematycznego wykluczenia nie rozumiemy dobrze w książce przeznaczonej dla młodzieży, której wszystkie wzory stawiaćby przed oczy należało.

P. P.

Rozmaitości.

× Dnia 12. b. m. umarł w Pradze sławny uczony czeski bibliotekarz *Wacław Hanka*, wydawca sławnego rękopisu królodworskiego. Pogrzeb był nadzwyczajnie świetny· przeszło 30.000 ludzi szło za tru-

mną zmarłego. Wóz pogrzebowy ozdobiony był wielkim krzyżem wawrzynowym w słowiańskich barwach. — W Poznaniu zaś zmarli: *Tekla Skarzyńska*, ks. *Józef Gierwatowski* i znany a powszechnie ceniony i kochany *Gustaw Potworowski*, któremu *Przegląd Poznański* poświęca obszerny artykuł, oceniając go temi słowy: „Po całym kraju naszym „rozszedł się odgłos żałoby wielkopolskiej. W całym kraju wiadomo „już dzisiaj, jaka strata dotknęła ojczyznę. Umarł jeden z najgorli„wszych, najpoświęceńszych, najzacniejszych obywateli i umarł przed„wcześnie, w sile wieku. W księstwie naszem wszyscy kochali ś. p. „Gustawa Potworowskiego, wszyscy ufali mu, polegali na nim i starali „się o jego szacunek. Zajmował on u nas osobne, gdzieindziej niewi„dziane, a przyznane sobie powszechnie stanowisko. Był rozjemcą o„gólnym i jednoczycielem, opiekunem niejako spraw publicznych i do„mowych. Położenie to zawdzięczał wysokim przymiotom serca i cha„rakteru, wielkiej miłości dla ludzi, gotowości bez granic do poświę„ceń, czystości przekonań i uczuć polskich, prawości nieposzlakowanej.“

X Nie będąc sami obecni na publicznym popisie ćwiczeń gimnastycznych w zakładzie gimnastycznym Dr. Bakodego, przytaczamy sprawozdanie o tem *Przeglądu Powszechnego*:

„W przeszły wtorek o 5tej godzinie z południa odbył się popis publiczny ćwiczeń gimnastycznych w zakładzie gimnastycznym Dra Bakodego. Znamy ten zakład, wiemy o ile jest pożytecznym, i jaką pracę zadaje sobie szanowny ten lekarz, aby zakład podnieść i doskonalić coraz nowemi urządzeniami. Ktoby jednak nie miał najmniejszego o tem wyobrażenia, byłby się na tym popisie przekonał nietylko o tem, jak wysoko stoi już ten zakład u nas, ale i o tem, jak takie ćwiczenia mogą dobroczynnie działać na rozwijanie sił, zdrowia i zgrabności. Aż miło było patrzyć na młodszych mianowicie, z jaką gibkością członków, z jaką zwinnością i szybkością odbywali te ćwiczenia. W każdej niemal żyle widać było życie pełne i siłę zdrowia. A nie potrzebujemy przecie dodawać, ile to zdrowie fizyczne wpływa na zdrowie moralne. Nie darmo to obyczaj spartański kładł tyle wagi na wyrobienie sił fizycznych w młodzieży. Mens sana in corpore sano — mówili Rzymianie starzy, i nie darmo. Zniewieściałość naszego wychowania przydusza niezaprzeczenie niejedną siłę umysłową, usypiającą pod pierzynami gnuśnych wygódek. To też gdy mowa o tym popisie, z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że jest w projekcie, by zakład Dra Bakodego stał się prawdziwą szkołą turnową, z której na cały kraj mają się rozchodzić do szkół prowincyonalnych (a później może i wiejskich), wyćwiczeni nauczyciele gimnastyki. I jest już w zakładzie takim trzydziestu preperandów, starających się o miejsca nauczycieli wiejskich, którzy się ćwiczą w zakładzie p. Bakodego, aby poszedłszy na swe stanowisko, mogli zaprowadzić po szkółkach swoich ćwiczenia gimnastyczne. Jednego już takiego przewodnika ćwiczeń gimnastycznych wydał zakład Dra Bakodego do Stowarzyszenia rzemieślniczego we Lwowie. Będzie to niezaprzeczenie wielkie dobrodziejstwo dla kraju, za który przedewszystkiem należy się wdzięczność panu Bakodemu, którą też mu najserdeczniej wyrażamy. Urodzony w Węgrzech, poczciwy Madiar przywiązał się do naszej ziemi gościnnej dla wszystkich a serdecznej dla serdecznych, i mamy nadzieję że nas nie porzuci, choć go powołują do Węgier. Dzięki mu za to. Nie darmo powiadają, że jest jakaś nić sympatyczna co wiąże Polaków i Madiarów. Pan P. miał mowę do niego po polsku po skończonym popisie, w której z rzewnością dziękował mu za jego prawdziwe i wielkie w tej mierze zasługi, i podnosił znaczenie takiego zakładu gimnastycznego.“

Z przyjemnością donosimy o tem, o ile sobie bowiem przypominamy, pierwsi byliśmy, którzy na ważność ćwiczeń gimnastycznych zwróciliśmy uwagę publiczną i myśl tę przy każdej sposobności jak najusilniej popieraliśmy i nigdy popierać nie przestaniemy, bo uważamy ją za bardzo ważną. Ćwiczenia gimnastyczne po całym kraju rozpowszechnione, zdziałają więcej dobrego aniżeli napomnienia rodzicielskie szanowania zdrowia, aniżeli wszystkie kazania matek; a zaprowadzone po szkołach miejskich i wiejskich szkółkach, przyczynią się wiele do wychowania zdrowego i silnego pokolenia. Jest to rzecz tak pojedyńcza, tak mało a prawie żadnych nie wymagająca kosztów a tak zbawiennych skutków, że doprawdy dziwić się wypada, iż dotychczas tak mało jest rozpowszechnioną. Niechajby każdy nauczyciel wiejski kupił sobie pierwsze lepsze dziełko traktujące o gimnastyce, kazał zrobić kilka przyrządów potrzebnych — i oto sala gimnastyczna gotowa! Kilkanaście pojedyńczych ćwiczeń wystarczyłoby na początek, a te każdy nauczyciel po przeczytaniu z łatwością mógłby sobie przyswoić.

Tak samo rzecz się ma i z szermowaniem. Nauka szermierstwa najsnadniej dałaby się połączyć z szkołą gimnastyczną.

Doniesienia literackie.

— Redakcya „Przeglądu powszechnego“ i księgarnia p. Kajetana Jabłońskiego przyjmują przedpłatę na gramatykę polską *Julii Goczałkowskiej*. O wartości i potrzebie podobnej gramatyki, zastosowanej do pojęć młodych, dowodzić nam nie potrzeba—polecamy ją raczej każdemu, kogo sprawa języka ojczystego szczerze obchodzi, nie przepuszczając, żeby dla któregobądź serca polskiego mogła dziś obojętną być czystość i poprawność ojczystej mowy. — Cena przedpłaty za jeden egzemplarz dwuczęściowy obejmujący: źródrosłów, składnię, pisownię, zasady stylu i wymowy, wynosi przed drukiem 60 ct. — po wydrukowaniu 80 ct. walucie austryackiej.

— Pan *Henryk Schmitt* ogłosił następujące doniesienie: „Ponieważ wydanie mego „Rysu dziejów narodu polskiego od czasów najdawniejszych aż do roku 1763,“ doprowadzone obecnie do 10 zeszytów, z przyczyn odemnie niezawisłych nie może tak raźnie postępować, jakbym sobie sam życzył, postanowiłem wydać krótkie dzieje ojczyste dla młodzieży w jednym tomie obejmującym około 30 arkuszy druku ścisłego. Druk tego dziełka zacznie się najdalej d. 15. stycznia 1861 roku, a ukończy w lipcu. Ktoby sobie życzył odbierać za pośrednictwem Dziennika Literackiego lub Przeglądu Powszechnego pojedyńcze wychodzące arkusze dziełka tego, niech raczy przesłać do jednej z obu wspomnionych redakcyj przedpłatę na nie wynoszącą 1 zł. 50 kr. w. a. Panów zaś przedpłacicieli na większe dzieło moje upraszam, aby przy przesłaniu przedpłaty na jeden z wspomnionych dzienników zawiadomili mnie, które zeszyty ich już doszły, a wyprawię natychmiast resztę aż do dziesiątego włącznie.

Korespondencya redakcyi.

— Panu poczmistrzowi w Sokalu. Prenumeraty dla panny hr. A. K. w K. nie otrzymaliśmy.

— Ks. S. w Turce. Numer 29 nadeszlemy później: bo wyszedł nam zupełnie i przedrukowywać go musiemy.

PanuM. w S. Tytulik i „Spis rzeczy“ roześlemy z pewnością z przyszłym numerem.

— Redakcyi Postępu w Wiedniu. W żadnym numerze naszego pisma nie było życiorysu pana Smolki.

— Pani Z. w Zagrz. Pierwszy rodzaj gazet zjawił się u nas za czasów Zygmunta III i zwany był *Nowinami* i *Relacyami*. Do tych należą: 1.) Nowiny z Rakuz o monstrancyi Tureckiej (W Krakowie 1590.) 2.) „Nowiny z Francyi o wybawieniu miasta Paryża od oblężenia króla Bawarskiego.“ (W Krakowie 1590 r.) 3.) „Merkurynsz Polski ordynaryjny 1661 r.“ (Wydawał go Jan Alexander Gorczyn). 4.) „Zabawy przyjemne i pożyteczne.“ (Od r. 1669 do 1777.)

— Panu R. w Kr. O ile wiemy, *Noworocznik* wyjdzie w tych dniach z druku. Redakcya Czytelni przyjmuje przedpłatę.

— Panu Feliksowi G. Wiadomości z Banatu, objaśniające nas o życiu i ruchu umysłowem tamecznej młodzieży, bardzo nam będą pożądane.

— Panu Kazimierzowi K. w Paryżu. Oczekujemy niecierpliwie przyrzeczonej nam łaskawie korespondencyi. Wyszłe b. r. numera posłaliśmy, rocznika przeszłorocznego nie mamy już kompletnego.

Musieliśmy wyrzucić dwa artykuły, dla tego wydanie numeru spóźniło się.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.